

Matki mają głos...

Obserwuję swoje koleżanki, które mają dzieci w wieku szkolnym.

Obserwuję ich starania pogodzenia wychowania dzieci z pracą zawodową i kilkoma domowymi etatami, które ma każda z kobiet.

Renia: Idę do domu, bo muszę zrobić Jaśkowi dyktando (klasa 3) – pani w tym tygodniu zadała już trzy...

Mirka: A ja idę pomóc lepić komórkę z plasteliny na biologię (klasa 6)...

Agata: A ja powtarzać z Zosią niemiecki...

Słucham i coś się we mnie buntuje.

Obserwuję moje koleżanki, które po wielu godzinach pracy biegną do domu, żeby realizować projekt „współpraca rodzice – szkoła” i próbować stanąć na wysokości zadania. Z własnych doświadczeń wiem, że matki – bo to na matki spada cały ciężar, nie oszukujmy się, ojcowie nie odrabiają lekcji z dziećmi – są przemęczone i często sfrustrowane, że szkoła wymaga od nich współpracy, która często nie współpracą jest, ale obciążeniem...

Bo czy matka musi pomagać lepić komórkę z plasteliny albo powtarzać z dzieckiem niemiecki? Przecież matka może nie znać niemieckiego... Ba, może nie znać nawet polskiej ortografii... Ba, dziecko może mieć matkę chorą, głuchoniemą albo nie mieć jej w ogóle i co wtedy? Tak wiele się mówi o wyrównywaniu szans...

A gdyby dziecko uczyło się w szkole chińskiego, to co? Matka musiałaby umieć chiński tak jak moja koleżanka biologię?

Moja młodsza córka chodzi do szkoły podstawowej, jej nauczycielka nie ma mimiki, dzie-

ci przezywają ją mumią, a ona mówi o nich *per* jednostki... Na zebraniu usłyszałam: *jednostki się nie słuchają* i myślałam, że nie wierzę własnym uszom, a jednak... W tej samej szkole usłyszałam na korytarzu jak świetna podobno nauczycielka odzywa się do ucznia: *Chyba się z koniem na głowę zamieniłeś!* Zdębiałam, przyznaję.

Moja starsza córka chodzi do renomowanego liceum, ale uczy się głównie na korepetycjach... Ja nie znam biologii ani... chińskiego. Proszę zapytać matek uczniów, ilu uczniów, ile godzin tygodniowo, ile pieniędzy... Tyle się mówi o edukacji, może ktoś by poruszył wreszcie tę sprawę... I na koniec te komitety rodzicielskie, których rola sprowadza się – jak u mojej koleżanki – do kupienia, uwaga, to nie jest odosobniony żenujący przypadek, *mikrofalówki na koniec zerówki*, bo panie sobie tak życzyły...

Na koniec moja teza: po to jako społeczeństwo kształcimy nauczycieli, budujemy szkoły, płacimy podatki na oświatę, żeby ta *szeroko rozumiana*, jak to się teraz modnie mówi, oświata zajmowała się edukacją naszych dzieci, bo się na tym znać powinna. Oświata, szkoła, a nie my, matki, wykonujące różne zawody, ale niebędące zawodowymi pedagogami, wychowujące jedynie intuicyjnie. W moim mniemaniu *współpraca szkoła – rodzice* powinna polegać na tym, że nauczyciel pomaga często bezradnym rodzicom w wychowaniu dzieci, a nie na tym, że rodzic pomaga nauczycielowi uczyć własne dziecko. Coś tu się chyba pomieszało, nie uważają Państwo?

mama dwóch córek

Jestem mamą dziesięcioletniego Janka. Moje pierwsze relacje z nauczycielami zaczęły się w przedszkolu. Niestety z tamtego okresu najwyraźniej pamiętam, że wychowawczyni miała do mnie ciągle pretensje, że Jasiek nie śpiewa

z grupą. Chcąc stanąć na wysokości matczynego zadania, uczyłam się piosenek i śpiewałam z nim w domu. Doszło do tego, że chyłkiem zaprowadzałam synka do przedszkola i uciekałam, żeby nie spotkać się z panią. Na szczęście w następnym roku zmieniła się wychowawczyni i nie usłyszałam więcej skarg na temat śpiewania i nie musiałam już odrabiać lekcji muzyki z Jankiem.

Obecnie Janek jest w trzeciej klasie, moje relacje z nauczycielami są bardzo dobre, Jaś nie ma problemów na naukę, ale jak się nad tym zastanawiam, to myślę, że sama na to zapracowałam. Kiedy mój syn rozpoczął naukę w zerówce, od razu zapisałam go przezornie na kurs języka angielskiego i dzisiaj otrzymuje z testów 5 i 6. Ale kolega Janka, którego mama nie była taka przewidująca, już w I klasie przychodził do nas z prośbą o pomoc w przygotowaniu do testów. W następnym roku mama chłopca zapisała go na lekcje prywatne i korepetytor odrabia z nim angielski.

mama trzecioklasisty

Moja relacja rodzic – szkoła zaczęła się, gdy wywieszono w szkole listy przyporządkujące dzieci do poszczególnych klas I i wtedy okazało się, że jestem jedyną mamą, która nie zabiegała o to, żeby jej dziecko było u „dobrej” pani. Jedyne mój Krzys wylądował w siedemnastoosobowej klasie, gdzie nie było żadnego kolegi z zerówki... Było mu smutno jak nie wiem, mnie jeszcze bardziej, byłam zła na siebie i na system. Ale nie ma tego złego, pomyślałam sobie, gdy okazało się, że wychowawczyni jest skromna, zaangażowana i nieprzereklamowana. Wychodziła do nas – rodziców – na korytarz, gdy odbieraliśmy dzieci

ze szkoły, dzwoniła, gdy była taka potrzeba, rozmawiała z nami, mówiła o osiągnięciach naszych dzieci i o ich brakach, była ciepła i miła. Polubiliśmy się. Cóż, szczęście nie trwało długo, gdyż naszą małą klasę rozwiązano w rok później – była za mała, była nierentowna. Krzys przeszedł do klasy tej „dobrej” pani, która, biedna, myślała, że żeby mieć autorytet, trzeba robić ważną minę. Śmieszko mnie to, bo moje dziecko dobrze się uczyło, a ja nie miałam kompleksów, ale innym mamom, traktowanym z góry, nie było do śmiechu.

Przypomniał mi się w tej chwili mój profesor z uniwersytetu, profesor najwyższej klasy, międzynarodowa sława, który kłaniał mi się w drzwiach i przepuszczał przodem, a na seminariach robił herbatę z cytryną. Od kiedy Go poznałam wiem, że im ludzie mądrzejsi, tym bardziej pokornici. Dziś byłam na zebraniu w liceum, do którego chodzi mój syn. Ma cudowną wychowawczynię. Oddana dzieciom, pasjonatka, zaangażowana, po prostu kocha swoich uczniów – dla mnie ideał. Mam szczęście, taki wychowawca to skarb. Ale dyrektor liceum, cóż, do profesora mu daleko, jak wchodzi do pokoju nauczycielskiego pełnego rodziców, nie przyjdzie mu do głowy powiedzieć „dzień dobry”, ani przepuścić matkę w drzwiach, a jak widzi mnie na ulicy, to widzę, że mnie zna, ale przecież on, dyrektor, nie będzie się kłaniał. Poza tym kiedyś miałam do niego sprawę, więc musiałam wyczekać swoje na korytarzu, bo przecież „dyrektor ważny jest”, a potem broń Boże załatwić coś z uśmiechem, przecież nie po to się jest „ważnym dyrektorem”, żeby się uśmiechać, prawda? A może by tak w reformie szkolnictwa uwzględnić reformę sposobu bycia niektórych dyrektorów i nauczycieli?

mama licealisty

*Atmosferę w rodzinie (...) tworzy matka.
To ona jest w domu menadżerem.*

Margaret Thatcher